Wydanie I.

Cena egzemplarza **20** groszy.

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ" i „GOSPODARSTWO"

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty, ekspedycji itd.
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę w dole.

Nr. 31. **Poznań, dnia 31 lipca 1927 roku.** **Rok XXXIII.**

MATKA BOSKA ANIELSKA



„Królowo nasza wśród Cherubinów!"

Królowa Anielska

(dnia 2 sierpnia)

Panno przeczysta! Aniołów Królowo!
Posłuchaj nas,
Cała Ci ziemia śpiewa pieśń godową
Szumi Ci las;

Pieśń Ci dziękczynną nucą kłosy żytnie
Kłoni się łan,
Wonieje kwiecie co wśród zboża kwitnie,
Drży muszek tan!

Ty wśród Aniołów co królujesz w niebie,
Widzisz swój kraj!
Widzisz ten naród, co wielbia Ciebie
Za wolny maj!

Spójrz na Twą Polskę, widzisz radość
Wśród blasków zórz! [wszędzie
Wolność nam świeci przez Twoje orędzie,
Na zawsze już.

Kwitnie nam szczęście o Anielska Pani!
Minęła noc,
Gdyś wydobyła nas z nędzy otchłani,
Przez Twoją moc.

Powiedz Aniołom, że łzy już nie płyną,
Stłumiony ból!
Niebo się śmieje nad polską krainą,
Szlakami pól!

Chociaż tam zdala królujesz na niebie,
Wśród złotych gwiazd,
O Twą opiekę wciąż błagamy Ciebie
Dla naszych gniazd!

Marja Trzcińska-Fabiani.

Krew św. Alfonsa Liguorego

Sławny jest na cały świat cud św. Januarego w katedrze neapolitańskiej, który się dokonuje dwa razy do roku t. j. w pierwszą niedzielę maja i w dzień św. Januarego, 19 września z całą oktawą. Tłumy ludu wtedy zapełniają katedrę. Po czekaniu dłuższem lub krótszem, skamieniała krew świętego biskupa męczennika z przed 1500 laty staje się płynną.

Ale mało komu jest znane, że w tem samem mieście dzieje się rzecz podobna z krwią św. Alfonsa Liguorego, założyciela zakonu oo. Redemptorystów, rzecz może bardziej nawet uderzająca, bo każdy może ją widzieć zbliska bez trudności i to każdego dnia. Będąc w Neapolu 19 września z. r. z x. Stanisławem Janickim wstąpiliśmy do kościółka Santa Maria della Mercede e di San Alfonso przy ulicy San Sebastiano nr. 1, i poprosiliśmy proboszcza x. prałata Nappi, żeby nam pokazał relikwję krwi św. Alfonsa, o której istnieniu wiedziałem z książki Dra. Isenkrahe, który naukowo badał cud neapolitański.

Z szklanej szafeczki, wiszącej przy murze, po prawej stronie ołtarza wydobył proboszcz niewielki srebrny relikwjarz kształtu latarni, nakryty koroną,

Ewangelja na niedzielę ósmą po Świątkach

zapisana u św. Łukasza rozdz. 16, w. 1—9.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów swoich tę przypowieść: Pewien człowiek był bogaty i miał włodarza, którego przed nim oskarżono, iż trwonił dobra jego. Przywoławszy go przeto, rzekł doń: Cóżto ja słyszę o tobie? Zdaj sprawę z włodarstwa twego, albowiem już dłużej nie możesz włodarzyć. Włodarz zaś mówił do siebie: Co ja poczne, gdy pan mój odbierze mi włodarstwo? Kopać nie mam siły, żebrać się wstydzę. Wiem, co uczynię, aby mnie przyjęli do swych domów, gdy będę złożony z włodarstwa. Przywołał przeto z osobna każdego z dłużników swego pana. Pierwszego zapytał: Ile winieneś panu mojemu? A on rzekł: Sto baryłek oliwy. On zaś mu powiedział: Bierz swój zapis, siadaj zaraz i pisz: pięćdziesiąt. Następnie zapytał drugiego; A tyś ile winien? On zaś odrzekł: Sto miar pszenicy. Rzekł też do niego: Bierz swój zapis i napisz: ośmdziesiąt. A pan pochwalił przewrotnego włodarza za to, że przebiegle postąpił; albowiem synowie tego świata są przebieglejsi, gdy chodzi o im podobnych, niż synowie światłości. Ale ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjaciół ze zwodniczych bogactw, aby po śmierci przyjęto was do przybytków wiecznych.

Nauka.

„Ileś winien?"

„A pan pochwalił przewrotnego włodarza" nie za to, iż trwonił dobra pana swego, a przez to zaciągnął dług ogromny, jakiego spłacić nie może. Ale za to chwali, że przebiegle czyli mądrze postąpił, gdy już został oskarżony. Przewidując bowiem, iż utraci chleb i stanowisko, zabiega zawczasu, póki jeszcze w urzędzie jest, o pozyskanie sobie przyjaciół. Zyskuje ich sobie przez to, że każdemu z dłużników pana swego zmniejsza dług i w zamian za to, przyjmą go oni do domów swoich, gdy go pan odprawi ze służby, i pozbawi chleba.

Tak radził przewrotny włodarz o swojej przyszłości. A my, jak o niej radzimy? Nie mówię tu o tej przyszłości doczesnej, lecz o tej przyszłości, jaka nas czeka w wieczności.

„Ileś winien"? powinniśmy przedewszystkiem pytać często sami siebie, jeżeli nie chcemy, aby nas to pytanie zaskoczyło na sądzie Boskim.

Wszakże długi ma dziś prawie każdy, a pieniądze cudze lepią się do dłoni, szczególniej, jeżeli to są pieniądze z jakiejś kasy, gminnej, towarzyskiej lub innej.

Pożyczyło się lub wzięło od kupca towar bez pieniędzy, już temu lat kilka lub kilkanaście, a na pytanie „ileś winien"? trzebaby przyznać: „Jeszcze wszystko, bo nic nie odpłaciłem. Zarobki, pensje, dochody tak małe, że nie wiedzieć, skąd oddać".

Ja ci powiem skąd! Trzeba zmniejszyć wydatki na rzeczy niekoniecznie do życia potrzebne, a więc na palenie i picie napojów alkoholowych, na zabawy i stroje!

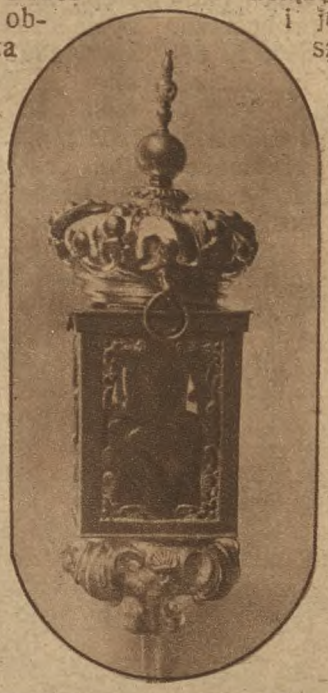
Kto nie oddaje długu, ponieważ na te wydatki zbyteczne traci wszystko, co zapracuje, podobny jest do włodarza ewangelicznego, który trwonił dobra pana swego. Rychlej niż się spodziewa, usłyszy głos odwiecznego Sędziego: „Ileś winien? Zdaj sprawę z włodarstwa twego"!

Lecz czy przyjmą takiego do przybytków wiecznych?!

trzymając za cienką, ostro zakończoną rączkę u dołu, która zwykle tkwi w otworze drewnianej stópki, żeby relikwjarz mógł być przechowany stojąco. Przez cztery szybki szklane, doskonale dała się obserwować mała szklana buteleczka zamknięta szklaną zatyczką, a w niej kilka grudek krwi skrzepłej, przylepionych częściowo do dna, częściowo do ścianek. Przy przechylaniu i potrząsaniu żadnej zmiany nie było widać. Zmówiliśmy trzy „Chwała Ojcu" i wtedy nagle zaczęła z grudek sączyć po szkle czerwona krew. Za chwilę, gdy wziąłem relikwjarz do zakrystji, żeby go odfotografować przy oknie, zatknąwszy w siedzeniu krzesła, krew była znów twarda i sucha, choć gorące promienie słońca na nią padały. Potem przyszło kilku xx. Redemptorystów, i wobec nich powtórzyło się rozpłynięcie się krwi, jak za pierwszym razem. OO. Redemptoryści z obawą odwiedzają relikwję świętego fundatora, bo opowiadają, że jeżeli tam przyjdzie niedobry zakonnik, to św. Alfons, żeby go zawstydzić, cudu nie uczyni.

Jak wynika z drukowanej notatki historycznej, darowanej nam przez x. proboszcza, krew zachowaną we flaszeczce upuszczono św. Alfonsowi za życia w roku 1785 t. j. dwa lata przed śmiercią. Buteleczkę tę darował „królewskiemu arcybractwu" 4. lutego 1837 książę Pollena lub Polvica, krewny Świętego i jeden z założycieli pobożnego stowarzyszenia z poświadczeniem autentyczności x. biskupa Giustiego, sufragana neapolitańskiego. Wtedy to kazano zrobić dzisiejszy srebrny relikwjarz. Po raz pierwszy spostrzegł 1. sierpnia 1851 r. x. January Baccher, że krew staje się płynną. Ogromna liczba duchownych i świeckich, pośpieszyła wtedy oglądać cud, między innemi kardynał Riario Sforza, arcybiskup Neapolu, w wieczór 2. sierpnia. Od tego czasu powtarza się rozpływanie się krwi każdego czasu przed okiem wierzących, co gorące do Świętego zanoszą modły, jak i niedowiarków, którzy z ciekawością, albo podejrzeniem przypatrują się dziwnemu zjawisku.

Tak to św. Alfons, choć dawno króluje w niebie, krwią swoją serdeczną dalej apostołuje dla wiary św. w ukochanej swej diecezji. *X. Paulus.*



Relikwjarz z krwią św. Alfonsa w Neapolu.

A razem, a z wiarą rzucajmy wgłąb ziarno,
A ziarno, gdy czyste, to padnie nie marno,
Oj pójdzie nie marno, choć silny wiatr wionie,
Nie na tym, to zejdzie na innym zagonie.

Kornel Ujejski.

PROBOSZCZ z ARS

(św. Jan Marja Babtysta Vianney)

Streściła podług francuskiego Iry St.

W roku 1925 został policzony w poczet świętych, Jan Marja Baptysta Vianney, proboszcz z Ars, kapłan tak wielkiej miary, iż stał się nietylko chlubą Francji, ale promiennym wzorem duchowieństwa całego świata.

Urodzony pod strzechą w Dardilly, w pobliżu Lyonu, pochodził z tej warstwy pracowników rolnych, która dała Francji, nie mniej i nam, cały szereg jaknajlepszych duszpasterzy.

Jan Vianney wyniósł z domu rodzicielskiego wspaniałe przykłady cnót chrześcijańskich, a zwłaszcza ów kwiat, który w koronie jego zasług kapłańskich, najpiękniej się rozwinął — miłosierdzie....

Co wieczór, do domku, w którym gospodarowali Franciszek i Marja Vianney, schodziła się procesja ubogich ludzi — ten po strawę, tamten przespać się na słomie, ów po słowa pociechy.... a gdy nie starczyło pożywienia by wszystkich nakarmić, gospodarz oddawał głodnym część przeznaczoną dla siebie. I nie dziw, że dziecię, pobłogosławione już w łonie matki, przez jednego z gości, świątobliwego Benedykta Józefa Labre, posunął, aż do heroizmu, cnotę miłosierdzia odziedziczoną po rodzicach. Już od najmłodszych lat przyprowadzał ojcu wszystkich żebrzących spotykanych na swej drodze — otwierał im drzwi domu rodzicielskiego na oścież, zdejmował z ich przygarbionych barków ciężary, zanosił matce do załatania części ubrań podartych. Chłopczyk ukochał ponad wszystko dzieci, zajmował się gorliwie swymi rówiennikami, dzielił się z nimi, nietylko obiadem, czy kolacją, ale rozumiejąc, że człowiek nie samym chlebem żyje, uczył ich głębokich prawd wiary wyssanych wraz z mlekiem matczynem.

I rzeczywiście nie pamiętał chwili, w której począł kochać Najśw. Marję Pannę, boć znał Ją i miłował zawsze, nauczony przez matkę wymawiać pierwsze słowa, imiona Jezusa i Marji — pierwszy odruch ręki — czynić znak Krzyża św. Ta prosta kobieta wiejska, bezwiednie powtórzyła piękne słowa jednej z królowych Francji:

— Największem mojem zmartwieniem byłoby widzieć które z moich dzieci obrażających Boga.

A zwracając się do Jana Marji szepnęła wzruszona:

— Mój maleńki, zmartwienie moje byłoby jeszcze większe, gdybyś ty to uczynił!

Syn najmłodszy był jej ulubieńcem. Zanim go na świat wydała, prosiła kornie Boga, by go w przyszłości przyjął do swej służby — a gdy spostrzegła pierwsze objawy pobożności u chłopięcia, poczęła rozwijać w jego sercu ten cudny dar Boży.

Gdy Jan Marja podrósł, kościoły we Francji zostały pozamykane i wielu księży wygnanych. Matka ukazała oczom syna, konieczną potrzebę apo-



Posąg prob. św. x. Jana Vianney'a w muzeum w Ars.

stolskiego ducha, wobec wielkiego braku duszpasterzy. Sam zresztą przekonał się o strasznym zaniku wiary wśród tych współtowarzyszy, którzy w swych matkach nie znaleźli, jak on, zastępczyni proboszcza. Więc zaimprowizowawszy na wolnem powietrzu ołtarzyk, zwoływał dziatwę okoliczną, by ją pouczać prawd wiary, a wszyscy słuchali małoletniego kaznodzieję w największem skupieniu, ze czcią i miłością.

Gdy po raz pierwszy mały Vianney przystępował do Komunji św., zachwycił kolegów nadzwyczajną pobożnością. W wzniosłych chwilach święta Bożego Ciała również, chłopczyk roztapiał się w szczęściu i niemem upojeniu na widok triumfu Chrystusa i wielkich rzesz ludzi, otaczających Pana nad Pany. Gdy wybuchła rewolucja we Francji, w miłosiernym domku rodziców Vianney, procesja bied ludzkich nie ustawała. Jan Marja począł zbliżać się do najnędzniejszych, najwstrętniejszych ofiar przewrotu, oddawając im najniższe posługi. Równocześnie pukał do serc zbuntowanych, ukazując im prawdy odwieczne. Był przytem tak pogodnego, wesołego usposobienia, iż sama jego obecność wpływała kojąco na otoczenie.

Mimo głębokiej pobożności, nigdy dla modlitwy nie opuszczał obowiązkowej pracy. Pierwszy na polu przy robocie, był znakomitym rolnikiem, a równocześnie przerabiając ziemię pługiem, lub łopatą, wielbił w przyrodzie Boga i słał ku niebu hymny dziękczynne, lub korne prośby, za umiłowaną Ojczyznę i niemniej drogą rodzinę. Wśród pracy na roli, często bardzo uciążliwej, doszedł do lat siedmnastu. Matka, wszyscy rówieśnicy, głos ogółu, przeznaczał go do służby Bożej. On sam w tajemnicy serca, rozmyślał o tem tak często, aż stało się to gwiazdą przewodnią jego życia. Nie było atoli dosyć funduszów w domu, by zadośćuczynić życzeniom chłopca i oddać go do seminarjum... dopiero w dwa lata później, gdy x. Belley założył szkołę wpobliżu Derdilly — Jan Marja został przyjęty jako uczeń i po blisko dwudziestu latach pracy na roli, pod opieką dwojga ludzi świecących mu przykładem miłości Chrystusowej i ubogich braci — rozpoczął tutaj pierwsze studja kapłańskie.

Nie powodziło mu się zrazu w szkole. Za późno wziął się do nauk, zanadto pobieżnie był do nich przygotowany, a może tylko Bóg chciał wypróbować jego cierpliwość i wyrwać wszelkie zarodki próżności z serca, które później tylu nadzwyczajnemi łaskami obdarzył. Dość, że młodzian bardzo powoli i z wielkim wysiłkiem zdobywał wiedzę, zwłaszcza łacina sprawiała mu niezmierne trudności. Ale nie zrażał się niemi i wzywał na pomoc wszystkie zastępy niebiańskie, pracując tem gorliwiej w umartwieniu ciała i ducha. W pewnej chwili, gdy literalnie upadał pod ciężarem niepowodzeń w naukach — podjął pieszą pielgrzymkę do Grobu św. Apostoła Franciszka Regis. Szedł o głodzie i chłodzie, żebrząc po drodze jałmużnę na wyżywienie, nasycony częściej wyzwiskami niż chlebem, gdyż krzepka jego postawa nie wzbudzała litości, lecz nieufność. Głęboka wiara została jednak nagrodzoną i po powrocie z pielgrzymki Vianney studjował z większą łatwością.

Dopiero w 1815 r. po wielu latach ciężkich przejść z wojskowością, utraty ukochanej matki, przebytych smutnych dni w czasie przewrotów rewolucyjnych, które całą Francją wtrząsnęły do głębi, młody Vianney, przyjął pierwsze święcenia kapłańskie, razem z dwoma kolegami, przeznaczonymi w przyszłości do kanonizacji. Jan Marja, najstarszy z nich, miał już lat 29. Dwanaście lat upłynęło od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał głos Boży, przywołujący go do swej służby — a przez ten przeciąg czasu miał tyle do zwalczania, iż zdawało się, że Bóg odwrócił od niego swe oblicze i już nie pragnie go przyjąć do zastępu dusz wybranych. I zaraz na wstępie nowego życia czekało go zmartwienie — nie pozwolono mu spowiadać penitentów, lecz to upokorzenie przyczyniło się do wielu innych łask. Świętość młodego wikarego bowiem, zjednała mu serca przełożonych i parafjan, zaprowadziła do konfesjonału, i w krótkim czasie zasłynął jako jeden z najznakomitszych spowiedników.

Jak w Dardilly, a raczej z większym jeszcze zapałem, młody Vianney gorące swe serce i wszystko co posiadał, oddawał ubogim. Chorzy zwłaszcza, mieli w nim najlepszego opiekuna i przyjaciela. Obdarzony cudowną władzą kojenia, pocieszał tych, których cierpienia przedłużały się na ziemi, a tych, dla których miała wybić godzina rozstania z życiem, przygotowywał do ostatniej podróży. Na jego ramieniu zasnął słodko w Panu, kierownik jego młodości, czcigodny proboszcz Belley. Vianney dysponował go na śmierć, wyspowiadał i odebrał w tajemnicy narzędzia pokutnicze, gdyż dogorywający kapłan, dla pokory nie chciał, aby je spostrzegł ktoś niepowołany. Wkrótce potem zmarł proboszcz z Ars. a na jego miejsce powołano x. Vianney.

— Przyjacielu — rzekł do niego x. Courbon — jesteś nominowany na proboszcza w Ars. Jest to niewielka parafja i mało w niej miłości Bożej, staraj się rozbudzić ją w duszach ci powierzonych.

W pierwszych dniach lutego x. Vianney przybył do Ars, by w niej rozbudzić ducha Bożego, a wkrótce już rozpalił w niej tak wielkie ognisko miłości Bożej, iż płomień jej objął nietylko własną i okoliczną parafję, ale całą Burgundję, całą Francję. Skoro nowy duszpasterz zawitał do Ars, panowały w niem stosunki wprost opłakane — nie — iżby ta parafja okazywała się gorszą od innych, ale była ponad wszelki wyraz oziębłą, obojętną na sprawy ducha. Poza mszą św. w niedzielę i w dnie powszednie, której zaledwie kilka starszych kobiet słuchało, — świątynia Pańska świeciła pustkami. Mężczyźni dla byle jakiego błahego powodu, opuszczali nabożeństwa, albo okazywali w kościele twarz znudzoną, a ledwie tylko ono zakończyło się, w czterech gościńcach wiejskich rozbrzmiewała taneczna muzyka, nierzadko przeplatana kłótnią i wyzwiskami. Ludzie nie garnęli się do sakramentów św., nawet na Wielkanoc, a pewien wieśniak oznajmił, iż pójdzie do spowiedzi tylko pod tym warunkiem, jeżeli proboszcz pozwoli mu spowiadać się w zakrystji „ażeby nikt go nie widział".

Każde święto parafjalne dawało hasło do zabaw i pijatyki — a choć w niedzielę otwarcie nie pracowano w polu, odkładano na ów dzień wszystkie roboty domowe i porządki. Ars nie odrazu zmieniło swoje postępowanie. Trzeba było kilku lat ciężkiej, mozolnej pracy, by wyrwać je z odrętwienia i obojętności religijnej — ale gdy raz przejrzało, dało tyle dowodów wiary, iż księża przybywający do nawróconej parafji byli nią zachwyceni. Odtąd już nikt nie widział pijanych ludzi leżących po rowach, 4 karczmy zamknęły swe podwoje — w niedzielę i w święta kościół bywał przepełniony wiernymi, a na odgłos wieczornego dzwonka, nawołującego po raz trzeci do modlitwy, opróżniały się chaty i szeregi szły klęknąć u stóp ołtarza.

X. Vianney promieniał. Niezmordowany, mimo ciężkiej pracy zawodowej, codzień odwiedzał swych parafjan i to w chwili południowej, gdy rodziny były zebrane. Wówczas korzystał z każdej sposobności, aby omówiwszy sprawy doczesne, dusze zwrócić ku Bożym celom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

XLIII.

Najpiękniejszy dzień kongresu — „Msza anielska". — Soldiersfield. — Arena. — Olbrzym wśród ołtarzy. — Jezioro Michigan. — Pies. — Trudny dojazd. — Małe nieporozumienie. — Przeprawa pod barjerą.

Któremu z dni kongresu eucharystycznego przyznać pierwszeństwo co do znaczenia i wrażenia, jakie musiał robić na dusze?

Takie pytanie podsłuchałem w rozmowie pewnego towarzystwa na pokładzie statku „France", gdy po kongresie wracałem do ojczyzny.

Byłbym zaprawdę w trudnem położeniu, gdyby mi ktoś takie pytanie zadał. Nie wiem, za czem miałbym się oświadczyć.

Byłem świadkiem otwarcia kongresu, uroczystości przewspaniałej; byłem uczestnikiem poniedziałkowej Mszy dzieci; byłem widzem i słuchaczem w przejmującym swoją powagą wieczorze mężczyzn we wtorek; a wreszcie byłem jednym z miljona ludzi, biorących udział w pamiętnej procesji eucharystycznej na zakończenie kongresu w Mundelein. Każdy z tych momentów był w swoim rodzaju niezwykłością pierwszego rzędu. Zdaje się jednak, że najwięcej strun w duszy poruszył i najgłębiej zarył się w pamięć i najsilniej szarpnął uczuciem dzień dzieci, poniedziałek ze swoją „Mszą anielską".

Czy będę umiał należycie opisać ten majestat, jaki owiewał całą uroczystość, i tysiące szczegółów, z których szedł na człeka i wdzięk przyrodzony tej krociowej rzeszy dziatwy i czar piękności Kościoła katolickiego i jego świętych urządzeń?

Najpierw wypada mi poświęcić kilka słów opisu samemu miejscu, wybranemu na odbycie tego wspaniałego aktu. A warto to uczynić tem więcej, że w opowiadaniu swojem wracać będę do niego często, ponieważ odprawiła się tam nietylko poniedziałkowa Msza anielska, lecz także w dniach następnych liczne inne zebrania kongresowe.

Nazwano to miejsce Soldiers Field, to znaczy pole żołnierskie. Skąd ta nazwa? Oto miasto Chicago postanowiło na uczczenie synów swoich, którzy brali udział w wielkiej wojnie, urządzić ogromny plac ćwiczeń gimnastycznych, wyposażając go we wszystko, czego się domagać mogą przepisy sportu. Dokoła areny czyli właściwego placu ćwiczeń wznosi się bogata marmurowa kolumnada, mogąca na pięciu czy sześciu piętrach pomieścić wygodnie ze 150 tysięcy widzów. Na arenie odbywają się zapasy, gry, wyścigi konne i wozowe. A na wszystko jest tam miejsce, bo boki tej areny liczą sobie coś około kilometra długości przy odpowiedniej szerokości.

Ta kolumnada nie jest jeszcze całkowicie wykończona. Zamknięcie jej ma dopiero stanowić wysokie skrzydło poprzeczne, uwieńczone śpiżową kwadrygą czyli rzymskim wozem wyścigowym, zaprzężonym w cztery rumaki. Rzućmy okiem na obrazek dzisiejszy, który w drobniuteńkich rozmiarach daje pewne wyobrażenie o całości. Widzimy na nim nawet nieistniejący jeszcze gmach z kwadrygą. Naprzeciwko tej kwadrygi, na przeciwległym boku, wznosi się jako zamknięcie tej jedynej w świecie areny, długi, potężny, na niezliczonych prawie filarach zbudowany gmach Muzeum Fielda, widoczny także na obrazku.

Ten oto czworobok miał stanowić jakoby ogromną świątynię pod gołem niebem. W kościele potrzebny ołtarz. Ale jakiż to będzie olbrzym wśród ołtarzy, któryby wielkością swoją odpowiadał rozmiarom tej świątyni? Może największym w Polsce jest ołtarz Marjacki w Krakowie. Ale w tej świątyni, którą jest Soldiers Field, będzie z niego malutki ołtarzyk, a nie ołtarz, zabawka dziecięca, która zginie w przestrzeni. Więc to też Amerykanie wyrznęli tu ołtarz co się zowie, ołtarz, który we wszystkich kierunkach błyszczał zdaleka swoją pozłotą, strzelający ku niebu na 45 metrów wysokości. Przypomnijcie sobie, czytelnicy, naprędce wieże, które znacie; niewiele z nich przekracza 45 metrów. I oto takiej to wysokości „ołtarzyk" zdobił świątynię Soldiers Fieldu! Oczywiście, wszystko w stylu amerykańskim, na modłę drapaczy chmur — kolosalne!

Ołtarz, który dziś przedstawiam czytelnikom na obrazku, to naśladowanie ołtarza w bazylice św. Pawła w Rzymie. Na potężnych czterech filarach dźwiga się artystycznie rzeźbiona kopuła, ozdobiona na szczycie krzyżem. Gdy strzeliło słońce swojemi promieniami, wtedy złocone łuski kopuły słały na wszystkie strony skry ogniste. Oko tysięcy ludzi w Soldiers Fieldzie miało miłe w tej przestrzeni oparcie.

Położenie Soldiers Fieldu nie pozbawione też pewnej piękności, ponieważ tuż obok, z wyższych stopni kolonady widoczne morze chicagoskie. Nie jest to żadne właściwe morze, jedno jezioro Michigan, ale morzem nazywane dla swojej wielkości. Jest ono tak wielkie, jak nasza cała Małopolska. Jeżdżą po niem nawet tak zwane olbrzymy oceanowe, a gdy i nad niem rozhulają wiatry, to tak się umie rozsierdzić, tak dokuczyć nawet owym dużym okrętom, takiemi nadyma się falami, że i o porządną chorobę morską nie trudno. Tuż przy Soldiers Fieldzie widać przystań, pełną malowniczych żaglowców, a na długim, kilometrowym języku, wbudowanym w morze, wznosi się Pier czyli gmach portowy, duży, z pięknemi, rozłożystemi salami. W tych to salach odbywały się posiedzenia niektórych licznych sekcyj kongresowych, tam umieszczono także wystawę przedmiotów kościelnych.

Do tej to świątyni w Soldiers Fieldzie odbywała się dnia onego prawdziwa wędrówka ludów. Jak donosiły później gazety, już od samej północy wszczął się ruch pielgrzymów, którzy pragnęli wygodnie usadowić się na marmurowych ławach w kolonadach. O wczesnej godzinie rannej poczęły płynąć jak rzeki gromady dziatwy szkolnej, która miała śpiewać wśród Mszy anielskiej. Jakkolwiek uroczystość naznaczoną była na godzinę 10, to przecież mozolną musiało być rzeczą rozmieścić 62000 ruchliwej jak żywe srebro dziatwy.

— Wyjeżdżajcie rychło, — nawoływał nas jeszcze w domu przewidujący gospodarz, — bo przy dzisiejszej ciżbie pojedziemy do Soldiers Fieldu nie pół godziny, jak zwykle, lecz ze dwie.

Święte słowa, jak się później pokazało. Samochód, który nas wiózł, wlókł się wolniutko, albo przystawał zupełnie całemi minutami, hamowany tłumem samochodów innych. Policja dokonywała cudów roztropności i umiejętnie opanowała ruch, wstrzymując, przepuszczając, broniąc od zderzeń i wypadków. Było czasem słychać jakieś krzyki przeraźliwe, cały koncert tysiąca trąb samochodowych, przeciągłe tony gwizdawek policjantów, przejeżdżających jak błyskawice obok nas na motocyklach. Wszystko razem dobrze się jednak skończyło i szczęśliwie wylądowaliśmy u jakiegoś bocznego wejścia tej zaimprowizowanej świątyni.

Ba, gdybym miał swoją fioletową galę, poszedłbym z biskupami i innymi dostojnikami do muzeum



Stadjon, w którym odbywały się uroczystości kongresu eucharystycznego.

Fielda, którego hale miasto odstąpiło bardzo uprzejmie jako rodzaj zakrystji do ubierania kardynałów i biskupów, i stamtąd w barwnym pochodzie wkroczyłbym z gęstą miną do owego kościoła. Ale tak, w kusym swoim surduciku, wszedłem skromniutko bocznem wejściem, w licznem zresztą otoczeniu księży amerykańskich w jeszcze „kusiejszych" marynarkach, i kierowałem się w pobliże ołtarza.

Tam, przy ołtarzu, na szerokiej przestrzeni zbudowano setki ław. Dla kogoż byłyby one zbudowane? A dla kogożby, jak nie dla księży. W mig tedy moi księżulkowie rozsiedli się wygodnie w ławach. Poszedłem za ich przykładem i ja, myśląc sobie, jak to dobrze, że tak pięknie pomyślano o naszej wygodzie. Ale niedługo było używania tej wygody. Od ołtarza przybiegł jakiś dygnitarz w rozwianych przez wiatr fioletach i wyprosił nas bardzo stanowczo.

— Co myślicie, — wołał zaperzony, — gdzie ja usadzę wszystkich biskupów! Małe nieporozumienie, jeśli sądziliście, iż to dla was miejsca!

Okazało się, że był to główny gospodarz kongresu, jeneralny sekretarz prałat Quille, który oczywiście umiał pilnować porządku. Okazało się też później, że biskupów zjawiło się tylu, iż zaledwie dla nich miejsc starczyło, gdzież było myśleć o miejscu dla takich jak my szaraków. — Sromotnie tedy zostaliśmy wygnani z tego raju. Wycofaliśmy się aż do samej barjery, która odgraniczała, że tak powiem, prezbyterjum tego kościoła pod gołem niebem, to znaczy miejsce przy ołtarzu, przeznaczone dla biskupów, od reszty areny, zwłaszcza tej jej części, na której zebrane były owe 62 tysiące dzieci. Nie będzie to dla moich nóg rozkoszą stać przy tej barjerze jakie dwie godziny! Na szczęście ktoś życzliwy zwrócił mi uwagę, że tuż za barjerą, w pierwszym rzędzie dzieci, jest jeszcze na ławie kilka miejsc wolnych. Odrazu tedy postanowiliśmy zająć je, zanim ktoś inny wpadnie również na taki mądry pomysł. Przeprawa przez barjerę nie była łatwa. Była zbyt wysoka, aby z łatwością ją przekroczyć. Uważałem tedy, że lepiej mi będzie podleźć niż przeleźć. Jak to się tam odbyło to podłażenie, o tem już nie będę dokładnie pisał. Tyle tylko zdradzę, że dla człowieka, któremu jak mnie dał Pan Bóg nieco krępą i pękatą figurkę, pozbawioną zupełnie wszelkiej „talji", marzenia pań z czasów panowania starej mody, a który nigdy w życiu nie uprawiał żadnej gimnastyki, mogło ono służyć jako pokuta i ciężkie umartwienie!

Ale czegoż nie zrobi człowiek, gdy chce koniecznie być na Mszy „anielskiej"?!

X. Józef Kłos.



Ołtarz w stadjonie.

Zatrzęsła się ziemia w Jerozolimie

Wiadomość o trzęsieniu ziemi w Palestynie, o których wspominał „Przewodnik Katolicki" przeraziła chrześcijan na całym świecie. I nic dziwnego. Przecież to ziemia Święta, związana tak ściśle z dziejami naszego odkupienia!

Skutkiem tej katastrofy trzęsienia ziemi, najwięcej ucierpiały Jerozolima, obwody Jaffy i Haify.

Trzęsienie ziemi niejednokrotnie nawiedzały Palestynę, która jak świadczy Morze Martwe, gorące źródła w Tyberjadzie, oraz skały bazaltowe, jest ziemią wulkaniczną.



Kościół Grobu Pańskiego.

Największe trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Palestynę, było, jak nam opisuje historyk Józef Flavius, w roku 30 przed Chrystusem. Ewangelja wspomina nam także, że ziemia się zatrzęsła w czasie ukrzyżowania Chrystusa Pana.

Opowiadają też pisarze, że gdy Juljan Apostata przystąpił do odbudowy świątyni Jerozolimskiej, trzęsienie ziemi udaremniło założenie fundamentów. Ostatnie silniejsze trzęsienie ziemi było w roku 1837 a dotknęło szczególnie Galileę z Tyberjadą, gdzie podobno zginęło cztery tysiące ludzi. Mniejsze trzęsienia ziemi zdarzają się dość często.

Ostatnia katastrofa należy do większych i wyrządziła znaczniejsze szkody, niż początkowo sądzono. Trzęsienie to, rozpoczęło się w Egipcie, objęło Palestynę i Transjordanję. Grób święty został, podobno wskutek trzęsienia ziemi ciężko uszkodzony. Gmach hebrajskiego uniwersytetu doznał licznych uszkodzeń. Liczne domy prywatne zarysowały się i zachodzi obawa zawalenia się ich.

Ta ostatnia katastrofa wywołała więc bardzo silne echo w całym świecie, z powodu uczuciowych momentów, jakie świat cywilizowany łączy ze świętą ziemią Palestyńską.

*

Jakie straty i szkody spowodowało to trzęsienie ziemi w owej krainie świętej dla chrześcijan?

Pokazuje się, że są one większe aniżeli przypuszczano początkowo. Według urzędowego doniesienia o trzęsieniu ziemi w Palestynie i Transjordanji, poniosło śmierć w Palestynie 200 osób, 356 odniosło ciężkie obrażenia, a 375 lżejsze. Ilość bardzo uszkodzonych domów w całym kraju oblicza się na blisko 100. W Transjordanji śmierć poniosło 6 osób, natomiast 902 odniosło rany.

Najbardziej trzęsieniem ziemi dotknięte miejscowości Amman w Transjordanji i Nablus w Palestynie zachodniej, zaliczają się do miast arabskich i są ośrodkami narodowego ruchu arabskiego.

W Jerozolimie samej oprócz szkód wyrządzonych w kościele Świętego Grobu, mówi się jeszcze o znacznych szkodach w Moszei Omara, w rezydencji wysokiego Komisarza angielskiego lorda Plumera i w niemieckiej fundacji Augusty Wiktorji.



Wnętrze kościoła.

Najciekawszą a niewytłomaczoną rzeczą jest to, że pomiędzy rannymi i zabitymi wskutek trzęsienia ziemi są chrześcijanie, arabowie, niema tylko — ani jednego żyda.

*

Dzisiejsze Jeruzalem podobno jeszcze dzisiaj przedstawia widok siły i mocy. Majestat wyższy przemawia z jego świątyń i pamiątek. Jakże pięknem musiało być za czasów Chrystusowych, gdy jego widok budził uniesienie w pielgrzymach żydowskich, gdy wyrywał okrzyk zdumienia z ust uczniów Jezusowych, którzy, patrząc na wspaniałe budowle świątyń i całego miasta, wołali z podziwem: „Mistrzu, patrz! Jakie kamienie i co za budynek!"

Jednakże z tej Jerozolimy Jezusowej nie pozostał „kamień na kamieniu", wszystko z czasem zamieniło się w gruzy. Miasto samo dzisiaj jak każde miasto Wschodu brudne, w nowszych swoich częściach pospolite, tę jedyną posiada aureolę wielkości, że w jego murach rozgrywały się najważniejsze zdarzenia, o których opowiada nam święta ewangelja.

I dlatego serca chrześcijańskie przeraziły się wieścią o trzęsieniu ziemi w Jerozolimie — i dlatego też Boga proszą, aby uchował to miasto od zniszczenia!



Obrazek z dzisiejszego targowiska w Jerozolimie.

Zofja Sokołowska

Co starościc zdobył na wojnie

21) Powieść z XVII-go wieku.

(Ciąg dalszy)

Śród drzew coraz częściej bieliły się u ł u s y — wsie tatarskie. Przez piękną dolinę, zwaną Bajdary, dostali się na południowy kraniec Krymu i tu przed starościcem roztoczył się widok pełen niewysłowionego uroku.

Morze, błękitniejsze od turkusów, lekkim kołysane wietrzykiem, kryształową falą muskało wybrzeże, skąpane w słońcu, otoczone górami, które nie dopuszczały tu zimnych od północy podmuchów.

Trudno było uwierzyć, że to listopad, albowiem wszędzie jaśniała zieloność, a drzewa orzechowe nie straciły jeszcze liści. Śród najbujniejszej roślinności południowej kryły się domy dość znacznej osady.

— To Ałuszta — rzekł Abdul — jesteśmy już u kresu podróży.

Zsiadł z konia przed jednym z większych domów i wszedł sam do wnętrza. Starościc słyszał, jak Tatarzy z eskorty mówili między sobą, że Abdul pewno otrzyma sute m u s z t u l u k za takiego jeńca.

Wkrótce Abdul ukazał się na progu i skinął na jeńca.

— Halim murza wzywa cię — rzekł.

Starościc wszedł do izby, zawieszonej kosztownemi makatami i wysłanej puszystym kobiercem, mieniącym się barwami tęczy. Śród poduszek z jedwabiu i złotogłowiu siedział siwobrody starzec w żółtym adamaszkowym kaftanie, który na Krymie oznaczał wysoką godność dworską. Był to ojciec Achmeta.

Na ukłon starościca odpowiedział uprzejmem pozdrowieniem i rzekł:

— Jesteś jeńcem mego syna, młodzieńcze, ale nie lękaj się, będziesz uważany jako gość, a skoro złożysz okup, odzyskasz wolność.

Twarz starościca rozjaśniła się. W drodze uczył się pilnie po tatarsku od swojej eskorty i rozumiał nieźle tę mowę.

— Oby jak najprędzej nastąpiła ta chwila! — zawołał gorąco — proszę, effendi, naznacz kwotę, którą mam zapłacić, żebym mógł zawiadomić mego rodzica.

— Powoli! powoli! Widno masz w żyłach kipiątek miasto krwi — hamował go stary Tatar — przedtem muszę zawieźć naszemu najjaśniejszemu chanowi — oby Ałłach położył wrogi u stóp jego! — tę szablę, odebraną tobie. Wielce ucieszę tem jego serce, albowiem z napisów arabskich widzę, że ten oręż należał niegdyś do wielkiego chana Hadżi Giraja, założyciela dynastji, miłościwie panującej nam blisko 200 lat. Hadżi kazał sporządzić go w Damaszku. Godło Girajów, półksiężyc z pękiem strzał w pośrodku, jest na rękojeści i na brzeszczocie, osobliwie hartowanym. Ta szabla leżała na grobie Proroka w Mekce, stanowi zatem świętość, przechowywaną w skarbcu chańskim; wzięta na wojnę przez Mengli Giraja, przepadła podczas owej wyprawy na Litwę. Słyszałem nieraz, jak ubolewano nad stratą tej cennej pamiątki. Jakim sposobem dostała się do rąk twoich, b a g a d y r?

— Podarował mi ją stary, ostatni swego rodu rycerz: jeden z jego przodków zdobył tę szablę w bitwie pod Kleckiem, gdzie kniaź Gliński w 1506 r. pobił wojska tatarskie.

— Rzekłeś prawdę: od tego czasu jej nie ma. Odpocznij po długiej drodze, młodzieńcze, rozejrzyj się po nieznanych stronach; za dwa dni pojedziemy do Bakczysaraju, stolicy naszego miłościwego chana Selima.

Halim murza klasnął w ręce na służbę i kazał przygotować posiłek, oraz izbę dla młodego bogadyra z Lechistanu.

Słowa starego Tatara wlały nadzieję w serce starościca: pewny, że wkrótce odzyska wolność, jadł z apetytem i spał twardym snem młodzieńczym, który pokrzepił jego siły, nadwątlone trudami podróży i troską duszną.

Nazajutrz wypoczęty, pełen otuchy, oglądał uroczą Ałusztę, zachwycał się morzem, tak niepodobnem do Bałtyku, dziwował potężnym murom, świadczącym, że niegdyś musiała tu wznosić się warownia. Spotkawszy się ze swoim gospodarzem, zapytał go o pochodzenie tych zwalisk.

— Mądry i potężny cesarz bizantyński Justynjan, kazał zbudować tu warownię więcej niż 1000 lat temu — objaśnił go uczony Halim murza, — ale na Krymie ujrzysz ruiny wiele starsze, albowiem przed 2000 lat zamieszkiwali tu Grecy i wznieśli moc pięknych gmachów, które dziś leżą w gruzach. Już za panowania Girajów Genueńczycy z Italji zaczęli się tu osiedlać i między innemi zbudowali miasto Kaffę, wielce handlowe i ludne, posiadała bowiem 80.000 mieszkańców. Z Genui i Wenecji przywożą nam mnóstwo towarów; naród to przemyślny i ruchliwy.

Starościc ciekawy z natury, nie mógł usiedzieć na miejscu i korzystając z danej mu swobody, zapuścił się w okolice Ałuszty. Wspinając się na jednę ze skał nadbrzeżnych, usłyszał gniewne wrzaski, świst bata i rozdzierające jęki. Odwróciwszy się, ujrzał w dolinie kilku półnagich, wynędzniałych ludzi, kopiących studnię. Praca nad przebijaniem twardej skały była bardzo ciężka, zaprzestali więc roboty, żeby zaczerpnąć powietrza. Rozsierdzony tą przerwą dozorca, bił ich okrutnie kańczugiem, aż chude ich plecy krwią spłynęły. Byli to niewątpliwie jeńcy Polacy: mieli bowiem jasne włosy, a jeden z nich, wijąc się z bólu, zawołał:

— O Jezu!

Starościcowi serce się ścisnęło, ciemna chmura przesłoniła mu blask słońca. Nie mógł już zachwycać się pięknością tego kraju, w którym tysiące jego braci cierpiały w niewoli pogańskiej. Tatarzy brali z Polski taką moc jasyru, że cały Wschód zaopatrywali w niewolników i niewolnice. Tym handlem trudnili się głównie kupcy, zwani m a r t a n z a m i; gdy nie stało żywego towaru, porywali go siłą.

— Ach! gdyby bracia szlachta widzieli na własne oczy niedolę i poniewierkę swoich ziomków, toby na sejmach nie kłócili się z królem i hetmanami o zmniejszenie wojska, lecz wystawiliby jak największą siłę zbrojną, żeby zgnieść to plugawe pogaństwo w jego rozbójniczem gnieździe, — myślał starościc, wracając do mieszkania.

Był tak zgnębiony, że nie chciał już na nic patrzeć.

Słońce zatapiało złocistą tarczę w szafirowych falach morskich; z minaretu pobliskiej d ż a m i (tak muzułmanie nazywają swoje kościoły) rozległ się dźwięczny i smętny głos m u e z z i n a, śpiewającego wezwanie do modlitwy — i z a n. Pięć razy dziennie wstępuje on na galerję, zwaną s z u r f a, otaczającą smukłą wieżycę, żeby przypomnieć ludziom obowiązki ich względem Boga.

— O tej samej słodkiej przedwieczornej godzinie we wszystkich kościołach polskich dzwonią na Anioł Pański — westchnął starościc i łzy gorące rzuciły mu się z oczu, tęsknica niby ptak drapieżny zatopiła szpony w jego sercu, rwąc je na strzępy.

Przeżegnał się i zaczął odmawiać Anioł Pański... Skończył modlitwę i myśl jego uskrzydlona miłością, podążyła do ukochanego Gozdawina. Co oni tam robią w tej chwili? Deszcz ze śniegiem bije o szyby, suty ogień trzaska na kominie, a przy nim siedzi ojciec, któremu Marysia przynosi na tacy kubek wina grzanego. Matka przestała prząść i po cichu odmawia różaniec, ofiarując wszystkie modlitwy i strzeliste westchnienia na intencje syna.

Biedny! nie wiedział, że nie ma już matki...

XIV.

Nazajutrz Halin murza i starościc wyjechali w otoczeniu sług do Bakczysaraju. Droga była niedaleka, a jednak o mało nie przyprawiła o śmierć sędziwego Tatara. Z pod nóg jego rumaka niespodziewanie porwał się jastrząb; spłoszony wierzchowiec rzucił się w bok, kędy urwisko stromą ścianą w dół spadało, ale starościc, który zsiadł przed chwilą, żeby poprawić strzemię, jednym skokiem stanął przy rozhukanym koniu i chwyciwszy go za cugle, zatrzymał nad krawędzią przepaści.

— Winienem ci życie, młodzieńcze — rzekł Halim murza trochę blady — gdyby nie ty, byłbym roztrzaskał głowę o kamienie.

— Jestem szczęśliwy, że mogłem oddać ci tę przysługę, effendi. — uprzejmie odpowiedział starościc.

Niebawem ukazała się stolica chańska, gród wielce handlowy, ludny i bogaty, rozłożony nad jeziorem Czuruk w rozkosznej dolinie, zewsząd otoczonej górami. Z licznych dżami strzelały ku górze minarety, na ulicach pełnych śmieci snuli się: Tatarzy, Ormianie, Turcy, Persowie, Włosi, każda nacja we właściwych sobie strojach, ale największy ruch panował przy bazarach, zawalonych różnemi towarami. I tu w listopadzie była wiosna, drzewa nie straciły jeszcze liści, słońce grzało jakby w maju.

Halim murza, zajechał do swego domu i prosił starościca, żeby w nim się rozgościł. Był to niepozorny budynek, za to wewnątrz panował przepych, świadczący o bogactwie właściciela. Stąpało się tam po kosztownych kobiercach, wszędzie mieniły się wzorzyste tyftyki, złociste makaty, a wśród nich wisiała piękna broń, w której lubują się Tatarzy i wspaniałe rzędy na konie, często wysadzane drogiemi kamieniami.

Halim murza, przybrawszy się w atłas i złotogłów, poszedł do chana, żeby zanieść mu szablę Hadżi Giraja. Pałac chański leżał wśród rozległych ogrodów, otoczonych wysokim murem, ponad którym chwiały się szczyty drzew i połyskiwały w słońcu srebrzyste czuby wodotrysków, bijących w marmurowych basenach. Wiosną musiały tam śpiewać słowiki w gajach mirtowych; latem niezliczone krzewy różane roznosiły lubą woń dokoła; jesienią, złote i fioletowe grona winne błyszczały wśród zielonych liści winogradu.

Piękność i obfitość owoców na Krymie są zdumiewające: nigdzie nie spotyka się lepszych fig, moreli, brzoskwiń, śliwek, migdałów i orzechów. Mnogie stada bydła, koni, kóz, owiec i wielbłądów stanowiły główne bogactwo mieszkańców. Południowy kraniec półwyspu był to istny raj ziemski, który tylko dla jeńców zamieniał się w piekło, oni bowiem musieli wykonywać najcięższe prace, głodni, obdarci i poniewierani.

Halim murza wrócił od chana bardzo zadowolony, Selim Giraj ucieszył się z odzyskania cennej pamiątki rodzinnej i uważał to za dobrą wróżbę. Przez starego Tatara usposobiony łaskawie dla młodego jeńca, pozwolił mu tymczasem ze względnej korzystać swobody.

Ponieważ pogoda była wciąż piękna, starościc spędzał całe dni w mieście, albo w okolicy, ciekawie przyglądając się wszystkiemu. Często za urodziwym młodzieńcem goniły spojrzenia niewiast tatarskich, które nie zakrywają twarzy i mają daleko większą wolność niż w Turcji.

— Giaur! giaur! (niewierny) — szeptały między sobą.

Starościc wróciwszy do domu, dotrzymywał towarzystwa sędziwemu gospodarzowi, który bardzo go polubił. Kiedy raz jeniec skarżył się na wyprawy tatarskie, tyle szkody przynoszące Polsce, Halim murza odpowiedział mu ze spokojem:

— Konieczność zmusza nas do tego... Przebyłeś całą szerokość stepów, widziałeś jałowe pustkowia północnego Krymu, osądź więc sam, czy można wyżyć z tego? Jedynie południowa część półwyspu jest żyzna, ale to nie starczy na tylu mieszkańców i nieraz w zimie przymierają głodem w ułusach. Musimy rabować, żeby nakarmić te rzesze.

— Dajcie te stepy naszym Mazurom, a zamienią je w urodzajne grunta, jak zrobili z Ukrainą! — zawołał starościc.

— Trudno! My Tatarzy nie jesteśmy stworzeni do pługa i sierpa, jeno do szabli i łuka. Tu wszyscy są wojownikami — odpowiedział Halim murza.

— I próżniakami — dodał w duchu starościc, który w swoich wędrówkach gorszył się nieraz lenistwem mieszkańców, przez cały dzień siedzących bezczynnie na kobiercach.

Gdyby nie obowiązek religijny siedmiokrotnego obmywania się, toby się z nich nie ruszyli. Brudni, odziani w kożuchy baranie wełną na wierzch, często w swoich nędznych domach posiadali skarby, złupione w Polsce, lub na Rusi, ale ukrywali je, żeby nie zabrano ich dla chana.

— Zmalała teraz nasza potęga — westchnął Halim murza — nie wiesz pewnie, mój miły, jak wielkiem byliśmy niegdyś mocarstwem: pół świata należało do Tatarów, a książęta ruscy bili czołem przed naszymi chanami. Upadkowi naszemu winna niezgoda; zamiast iść społem i jednego pana słuchać, Tatarzy rozdzielili się na cztery chaństwa: krymskie, białogrodzkie, budziackie i nogajskie, stąd osłabli wielce i musieli stać się hołdownikami Turcji. Skorzystała z tego Moskwa — oby Allah ją skarał! — żeby zagarnąć Kazań, Astrahań i inne nasze posiadłości. Może kiedyś chciwą rękę i po Krym wyciągnie, ale ja już tego nie dożyję.

Starościc pomyślał, że upadek Tatarów będzie słuszną karą za ich zbrodnie, nie wypowiedział tego jednak, co myślał.

Rozmowa z uczonym starcem była tem przyjemniejsza, że ów znał dobrze stosunki polskie i bywał tam nieraz jako poseł. Pamiętał też znakomitych jeńców polskich i dowiedziawszy się, że starościc służył dawniej pod Stefanem Czarnieckim, oświadczył, że miał wielki szacunek dla tego wielkiego wodza, który dwa lata przebył na Krymie w niewoli.

Wypytywał się serdecznie o pana Wołodyjowskiego, z którym łączyło go dawne pobratymstwo, o pana Ruszczyca, kilkakroć przysyłanego do chana w poselstwie, z największem jednak uwielbieniem wspominał o panu Sobieskim, który przed laty przebywał jako zakładnik na dworze chańskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZENIESIENIE CUDOWNEGO OBRAZU M. B. KODEŃSKIEJ



Dnia 10 lipca miało miejsce w Siedlcach na Podlasiu, w stolicy biskupa podlaskiego, uroczyste przeprowadzenie Matki Boskiej Kodeńskiej z kaplicy Seminarjum Duchownego do katedry. Obraz w katedrze pozostanie do września; wtedy to przeprowadzą go bardzo uroczyście do Kodnia. Donosiliśmy już, że obraz ten, który przechodził ciekawe koleje i dziwnym wogóle sposobem dostał się do Polski, został przez Moskali „zesłany" do zachodniego kraju, to znaczy według ówczesnych pojęć, do ziemi Warszawskiej. Umieszczono go w kościele na Jasnej Górze. Odnowił go obecnie według wymagań sztuki prof. Rutkowski a złotnik Gontarczyk umontował przepiękne jego złocone srebrne szaty. Obraz zdobił dwukrotnie kaplicę zamkową w Warszawie, w dniu wręczenia biretu kardynalskiego nuncjuszowi Lauremu a później prymasowi Hlondowi. Dnia 4 b. m. przewiózł go biskup podlaski, J. E. X. Przeździecki, do Siedlec i umieścił w kaplicy seminaryjskiej na czas rekolekcyj kapłańskich.

W dniu 10 b. m. po nieszporach obraz uroczyście wprowadzono do katedry w Siedlcach.

W dn. 2 sierpnia r. b., jako w rocznicę usunięcia obrazu z Kodnia przez rząd rosyjski i wywiezienia do Częstochowy, odbędzie się uroczyste nabożeństwo w katedrze w Siedlcach, w połowie zaś sierpnia rozpocznie się uroczyste wprowadzenie cudownego obrazu do Kodnia. Nad uroczystościami, związanemi z przeprowadzeniem obrazu do Kodnia i wprowadzeniem do kościoła kodeńskiego protektorat objął Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Z życia wychodźtwa naszego we Francji.



Poświęcenie nowego konsulatu polskiego w Paryżu.

Z życia naszego wychodźtwa we Francji.

W Paryżu poświęcono nowe biura generalnego konsulatu polskiego, przy Rue Alphonse de Neuville pod nr. 9. Biały orzeł na tarczy wskazuje, że to placówka Rzeczypospolitej Polskiej. Wychodźcy nasi tak często muszą załatwiać sprawy w konsulacie. Działo się to dotychczas w okropnych warunkach, w ciasności i zaduchu. Zapowiada się, że teraz ład będzie lepszy. Na uroczyste otwarcie z Warszawy przybył Dyrektor dr. Babiński i wielu przedstawicieli prasy. Na obrazku widzimy x. prefekta Szymbora przemawiającego, obok niego stoi Dyr. Babiński, pani Poznańska, żona konsula generalnego, p. dr. Karol Poznański, konsul gener. Rzeczp. P. w Paryżu.

Legenda o Matce Boskiej

Na skraju rozległej polany, pokrytej rozkwitającym wrzosem, zadumana stoi maleńka, skromna kapliczka. Wokoło niej drobnolistne lipy prowadzą ciche swe szepty.

Przecudny, rozsłoneczniony dzień drugiej połowy lata ma się ku końcowi. Najświętsza Panna z Dzieciątkiem na ręku stoi na ołtarzu i spogląda wdal przez drzwiczki, które bawiące się dzieci pozostawiły otworem. Wzrok Jej biegnie po różowiącem się wrzosowisku aż hen ku ciemnej ścianie sosnowych borów. I bierze Ją chęć przejść się po kwiecistej polanie. Pozostawia więc na ołtarzu szafirowy płaszcz z ciężkiego jedwabiu, złotą koronę, uciskającą skronie, berło, ozdobione drogiemi kamieniami, tuli Dzieciątko w ramionach, w prostej, lśniąco-białej świtce spływa po stopniach ołtarza i staje u wejścia kapliczki. Wygląda oto jak szczęśliwa matka, która jedyną dziecinę swą chce wynieść na światło słoneczne. A jednak jest w Niej majestat Królowej, która — choć w prostą lnianą odziana szatę — nie traci nic ze swej wielkości. Boskie Dzieciątko spogląda ku Matce z dziecięcą ufnością, choć w oczętach Jego są głębie tajemnych cudów i prawd najwyższych.

Za Marją i wokół Niej jaśnieje jakby mgła, przesycona złotem światłem. To chór anielski, złożony z niezliczonych zastępów cudnych świetlanych postaci dziecinnych. Każdy z aniołków trzyma jakiś instrument muzyczny w rączkach i wydobywa zeń delikatne dźwięki, zlewające się w harmonję niebiańskiej pieśni ku czci Przeczystej Panienki. „Zdrowaś Marjo!" wita chór swą Królowę i czeka chwilę, jakby pytał, czy wolno mu towarzyszyć Jej w ziemskiej wędrówce. A Marja słodkim uśmiechem i lekkiem skinieniem zaprasza Swoje anielskie zastępy, by szły za Nią.

Gdzie tylko lekką Swą stopą dotknie drobnych krzaczków wrzosu, tam coraz piękniejsze wykwitają barwy różowe i bladolilowe na maleńkich kwiatuszkach, coraz żywsza staje się zieleń delikatnie powyzębianych listeczków, coraz rozkoszniejsza unosi się woń nad całą polaną.

Aż oto gromadkami małemi zjawiają się robotnicy, powracający po całodziennej pracy w fabryce ku swym chatom. Kroki ich ociężałe, głowy schylone, twarze poorane zmarszczkami troski o chleb powszedni. Niewszyscy znajdą w swej chacie gotową wieczerzę, niekażdego z nich oczekuje w progu żona z dziećmi. Są i tacy, których twarze noszą ślady zgubnych namiętności.

Ale gdy wchodzą na cichą polanę, każdy z nich wznosi oczy, pochylone ku ziemi, chwyta w nozdrza przemiły zapach i zachwyconym wzrokiem obejmuje rozkwitłe wrzosowisko. I mimowoli z ust ich wyrywają się okrzyki: „Nigdy jeszcze polana nie była tak śliczna!" „O! jakiż cudny ten Boży świat!" — I oto z serc ich spada ciężka troska, w oczach jaśnieją myśli czystsze i do chat wracają weseli i lepsi. Nie widzą, kto idzie po wrzosowisku, nie widzą anielskich zastępów, ale obecność Niepokalanej Dziewicy zmywa z ich dusz ponure nastroje, wydobywa z serc drzemiące czyste porywy, przysypane pyłem codziennej pracy i troski.

Utrapione szkodniki

Gdy nastaną cieplejsze wieczory, a wyjść nie mogę na przechadzkę, lubię bodaj na chwilę usiąść w otwartem oknie, by odpocząć po całodziennej pracy. Na stole pali się lampa i łagodnem światłem oblewa cały pokój, dokoła panuje cisza. Lecz za chwilę już nie jestem sama: wpadli przez okno dwaj nieproszeni goście i kręcą się koło lampy — to mole!

Zamykam coprędzej okno i dalejże na polowanie. Ale daremnie uwijam się po pokoju i potrącam sprzęty, małe szkodniki jak na urągowisko znikają gdzieś z oczu a za chwilę pojawiają się tam, gdzie się ich człowiek najmniej spodziewa. Wreszcie jeden ginie w płomieniach lampy, drugi wpada za kanapę, a tam go już nie znajdę. Poirytowana siadam na tej kanapie i rozmyślam, gdzie też ta utrapiona ćma jajka złoży: czy na mojem futrze, czy na dywanie, czy na jakiej sukni, wełnianej kołdrze, kocyku czy meblach — bo wełna i pierze to ulubiona potrawa moli.

Po ośmiu lub dwunastu dniach wylęgają się z tych jajek maleńkie gąsieniczki, które robią wielkie szkody, zwłaszcza gdy ich kilka obok siebie żeruje. Taka gąsieniczka jest nietylko ogromnie żarłoczna i żywi się tą wełnianą materją, pierzem, futrem — ona także dlatego wygryza takie dziury, bo z odgryzionych drobniutkich cząsteczek wełny przędzie i tka sobie podługowaty woreczek, który jej służy za sukienkę i za mieszkanie. Ale gąsieniczka żre i rośnie — sukienka staje się za ciasna — wtedy, jak zręczny krawiec, rozcina ją na przodzie swemi ostremi szczękami, wstawia sobie kamizelkę i przedłuża falbanką. Jeśli gąsieniczka wędruje z czarnej materji na białą lub np. czerwoną, to powstaje sukienka w różnokolorowe paski. Podziwiać to można oczywiście tylko przez szkło powiększające.

Późną jesienią, gdy gąsieniczka już całkiem wyrośnie, opuszcza swoje dotychczasowe żerowisko, wyłazi pomaleńku na ścianę albo powałę, tam się przyczepia razem ze swoją sukienką i śpi do wiosny — nie szkodzi jej nawet mróz. Na wiosnę zamienia się w poczwarkę, a po czterech tygodniach z tej poczwarki powstaje nowa ćma, która lata po pokoju i upatruje miejsca, gdzieby jajka złożyć. Na te ćmy trzeba polować, a w mieście okna wieczorem przymykać, by znęcone światłem lampy, nie przylatywały z dworu, ze sklepów bławatnych i od kuśnierzy.

Chronią się ludzie od moli tak, że przesypują odzienie naftaliną, kamforą, pieprzem lub silnie pachnącemi ziołami, ale to niewiele pomaga. Najlepiej od czasu do czasu wszystkie wełniane rzeczy trzepać i czyścić szczotką, bo tym sposobem odczepiają się jajka moli, których gołem okiem nie dostrzeże, i te maleńkie gąsieniczki w płaszczykach, które wyglądają jak zwitki pajęczyny, a takie szkody robią. Czyszcząc palta i ubrania, które dłuższy czas w szafie wisiały, zajrzyjcie pod kołnierz, pod pachy, do kieszeni, tam znajdziesz tych zwitków najwięcej, bo gąsieniczki tak jak i ćmy nie lubią dziennego światła.

A teraz rozumiecie także, dlaczego trzeba omiatać ściany i powały, szczególniej z końcem zimy, ku wiośnie.

Ot Bóg dobrotliwy stworzył takie małe szkodniki, aby człowieka uczyły porządku! M. K.

Apteczka domowa.

Poziomka

W kwietniu i maju pora zbierać liście i kwiatki poziomki nazywanej u nas czerwoną jagodą. Listki tą trzylistkowe i piłkowane. Jagody zbiera się w czerwcu i lipcu. Herbatę z liści pije się na żółtaczkę. Na łyżeczkę ziela bierze się szklankę wody wrzącej i ziele zaparza przez dziesięć minut. Pije się pięć szklanek dziennie. Kobiety piją ją na upławy. Na rozwolnienie jada się jagody dojrzałe, herbatę pija się na reumatyzm, na podagrę t. j. bóle w stawach z opuchlizną. Na odmrożenie nóg lub rąk moczy się miejsca odmrożone w odwarze z liści poziomkowych. Odwar wciąż musi być gorący. Moczenie trwa do 20 minut. Na nieczystość krwi, objawiającą w wyrzutach twarzy, pije się herbatę z młodego liścia poziomek. Na kamienie w nerkach jada się poziomki. Z korzeni poziomki gotuje się herbatkę na dyzenterję i bierze się co kilka minut łyżkę stołową.

Brak w Polsce kościołów!



Obecny kościół w Rożyszczach na Wołyniu.
Podczas deszczów i mrozów trzy czwarte parafjan stoi na dworze.



W Łodzi, ogromnie cierpiącej na brak kościołów, X. Biskup Tymieniecki poświęcił kamień pod świątynię świętego Antoniego.
× Inżynier Raniecki, który zaprojektował kościół.

Z Czerska na Pomorzu.

W borach tucholskich położona parafja, licząca 13 000 dusz, zorganizowana w licznych stowarzyszeniach jak kongregacjach dla matek, mężczyzn, marjańskiej, w stowarzyszeniu młodzieży św. Stanisława Kostki i Dzieciątka Jezus itp. Bardzo dobrze rozwija się kongregacja dla mężczyzn, która przed 4 laty założona, wzrosła do liczby 700 członków, a która wskutek wzorowej pracy patrona x. prob. Sprengla zdobyła sobie pierwszeństwo w całej diecezji. W święto Piotra i Pawła odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru tej kongregacji — zakupionego u pewnej firmy poznańskiej. Kwotę 1300 zł na sztandar zebrano w przeciągu jednego tygodnia. Jest to dowodem ofiarności borowiaka, który zawsze chętnie swój ciężko zapracowany grosz daje na cele dobre i szlachetne.



Dwa obrazki na dole.

Pamiątka „Poświęcenia się Stow. Młodzieży polskiej przy katedrze w Lublinie Najśw. Sercu Pana Jezusa". Po bokach x. patron Osucha, prezes Stowarzyszenia Niemier; po lewej członek Patr. inż. Godlewski.

Żeńska Szkoła gospodarcza w Tuchorzy (pow. Wolsztyn) założ. przez Wielkop. Izbę Rolniczą.





Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki" wynosi w I kwartale 1927 r. za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich 1,65 zł
Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.— zł., od 60 egz. wzwyż po 1,65 zł.
Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.— zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnemi.
Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki".